

.....11.....

Wacław Gołowicz

TEREN ...

=====

Ze wspomnień bibliotekarza powiatowego

—○○—

.....

Gołowicz

9 grudzień 1955 rok.

Jeszcze nie zdążyłem powiesić palta na wieszaku i rozejrzeć się po bibliotece, a już w ciszę poranka wdarł się natarczywy głos dzwonka telefonicznego.

- Niech dzwoni - pomyślałem ze złością. Przecież do godziny ósmej jest jeszcze - spojrzałem na zegarek - trzydzieści minut. Czyż nie wolno mi mieć te trochę czasu dla siebie, wyłącznie dla siebie ?

Telefon trąkotał jakiś czas, potem nastąpiła cisza. - Dobrze, że nie zdążyłem podjąć słuchawki - ucieszyłem się. Nie lubiłem tej czarnej skrzynki na moim biurku. Czasami niespodziany, ostry głos dzwonka wytrącał mi pióro z ręki. Wyglądało to niekiedy śmiesznie. Powstawała na papierze niezamierzona krecha, jakiś kulfon absolutnie nie pasujący do całości. Potem zazwyczaj następowało kilkugodzinne zebranie, jakaś praca nie mająca nic wspólnego z zajęciami bibliotecznymi lub wyjazd w teren. Właśnie wczoraj w nocy, po kilku dniach "terenu" wróciłem do domu. Tylko godzinę czasu wygospodarowałem z tej podróży dla biblioteki w Pieckach...

Dobrze, że ten ktoś przestał dzwonić. Było w bibliotece znowu cicho i spokojnie. Między regałami i po kątach tulał się półmrok grudniowego poranka. Tysiące książek drzemiące na regałach nie zdążyło jeszcze strząchnąć z siebie okruchów nocy. W wypożyczalni stosy książek

zwróconych wczoraj przez czytelników piętrzyło się na regale podręcznym. Z pomiędzy kartotek spoczewających na stole wyzierał plik kart czytelnicznych jako widomy znak życia biblioteki. Obok, jeszcze większy plik kart, wiadczących o liczbie książek wypożyczonych. Wygląd czytelnika także znamionował obecność żywych ludzi. Gazety i tygodniki leżały na stołach tak jak je pozostawili wczorajsza użytkownicy.

- A to co ? - Na ścianie spstrzegłem nowy plakat. Odrazu odgadłem w nim rękę Urszuli - instruktorki. Tak, to ona go wypracowała. Prostokąt brystolu odbijał się nieskazitelną bielą od tła ściany i wychodził swą świeżością na spotkanie oczu. W górnej części prostokątnego formatu widniał wielkimi literami napis: "FRYDERYK SCHILLER", w środku fotografia poety wycięta z jakiegoś czasopisma. Pod fotografią wypisała druczkiem bibliotecznym lata urodzenia i śmierci : "1759 - 1805 " nieżej zaś kilka tytułów utworów. Figurowały jedne pod drugimi : "Don Karlos ", "Zbójcy" , "Do radości".

- Ejże, Urszula ? - Czyś czasem nie zagubiła jednego wyrazu ? Chyba "Hymn do radości" , a nie "Do radości"... Z przykrością pomyślałem, że będę musiał zwrócić jej na to uwagę.

Wtem, z odległości dotarł do mnie znowu odgłos aparatu telefonicznego. Nie namyślając się pobiegłem pędem w stronę swego "gabinetu". Widocznie ten ktoś musi mieć naprawdę ważną sprawę. W słuchawce rozpoznałem głos Antoniego

Skowrońskiego, kierownika Oddziału Kultury. Nie było prawie dnia, żeby do mnie nie dzwonił. Po zwykłym "dzień dobry", "cześć", zaczął wyłuszczać meritum sprawy.

- Pojedziesz zaraz do Ukty - mówił. - Jest tam ode mnie kolega Gimel. Zawiadomił mnie wczoraj telefonicznie, że Prezydium przydzieliło nowe, kilkupokojowe pomieszczenie dla świetlicy i biblioteki. Dziś trzeba bibliotekę przenieść, a nie ma komu tego zrobić, bo bibliotekarka jest chora. Gimel mówił, że sam nie da rady.

- Jedź, bo ci bibliotekę przewrócą do góry nogami! - poradził. Po chwili dorzucił: " - Sawickiego nie posyłaj, bo niewiele, jako nowo przyjęty będzie mógł zrobić. Jedź sam. W tym "Jedź sam" zadźwięczała nuta prośby.

Wiedziałem o co chodzi kierownikowi Oddziału Kultury. Łudził się nadzieją, że taki ożenek biblioteki ze świetlicą wyjdzie tej ostatecznie na dobre. Kojarzył z tym nadzieję ożywienia placówki świetlicowej. - Charakter pracy świetlicy i biblioteki jest przecież podobny - mawiał.

- Nagromadziło mi się tu tyle pracy, ale przecie, że trzeba jechać - odpowiedziałem niemal zadowolony. Byłem także rad z nowego lokalu dla biblioteki, dlatego też niespodzianka ponownego wyjazdu w teren należała raczej do przyjemnych. Odłożyłem więc czymprędzej słuchawkę na widełki i pośpieszyłem do wieszaka. Sawicki, który się zjawił pod koniec mojej rozmowy ze Skowrońskim patrzył mi się w oczy pytającym wzrokiem.

- Jadę do Ukty na dwa dni - wyjaśniłem. Przeprowadzka biblioteki do nowego lokalu.

Za chwilę, z teczką wypchaną szmurkami do wiązania paczek maszerowałem w stronę dworca PKS. Musiałem się śpieszyć, gdyż samochód w stronę Ukty odchodził za kilkanaście minut.

-----ooOoo-----

Na dworze było zimno. W nocy spadek pierwszy tej zimy śnieg i cienką warstewką pobielił ziemię. Wzmagający się mróz przypominał, że jest to przecież dziewiąty grudzień - czas na zimę.

Pasażerów było niewiele. Parę kobiet z koszykami w ręku, trzech robotników dojeżdżających do POMu w Pieckach, kilku pracowników Prezydium PRN udających się podobnie jak ja w podróż służbową i jeszcze pięć, sześć osób tkwiących na siedzeniach w tyle wozu. Po mojej prawej stronie, pod oknem, zajęli miejsca dwaj rozbawieni jakąś rozmową młodzieńcy. Jeden z nich ubrany był w długi szynel wojskowy. Szofer zgrabnym ruchem wsunął się na swój fotel za kierownicą i zaraz samochód dostał drgawek aż wszystkie szyby w nim zagrały. Jeden z tych młodzieńców siedzących po przeciwległej stronie skonstatował:

- Jadziemy.

- No to "jadziemy" - roześmiałem się sam w sobie.

Wtuliłem głowę w kółnik i od niechcienia obserwowałem umykające do tyłu domy i opłotki miasta.

"...wczoraj tą samą drogą wracałem z biblioteki gromadzkiej w Pieckach. Wiozłem z niej niemal już skrytalizowane postanowienie-decyzję wysunięcia ponownego wniosku do właściwych władz administracyjnych o zwolnienie kierowniczkę biblioteki. Nie, taki stan nie może nadal istnieć. To nie jest biblioteka, to jest tylko zbiorowisko książek, bez katalogów, bez życia. Bibliotekarka nie jest po prostu

w stanie objąć swoim umysłem całości zagadnień związanych z prowadzeniem tej placówki. W dodatku cechuje ją brak jakiegokolwiek poczucia obowiązku. A wszystko przecież zależy od człowieka...

W toczącym się samochodzie było cicho. Każdy z pasażerów zapuścił się zapewne myślą w wiadome sobie drogi i tak sunął się nimi, albo ~~zgoła myślał o "niebieskich niegdażach"~~. Tylko ci dwaj młodzieńcy prowadzili między sobą cichą rozmowę kraszając ją od czasu do czasu przytkumionym śmiechem. Przede mną, zwrócona plecami do kierunku jazdy, stała konduktorka. Ciężki, służbowy płaszcz spływał jej za kolana, stopy zaś jej spoczywały w masywnych narciarach. Obrączki wełnianych skarpetek kontrastowały swą bielą z nogawkami sukiennych spodni obciążonych cholewkami butów. Ręce trzymała głęboko w kieszeniach płaszcza. Uważnym wzrokiem śledziła czynności biletowania wykonywane przez jej koleżankę, jak się później okazało, nowicjuszkę w tym zawodzie. Czasami przymrużała oczy i surowo marszczyła brwi. Zdawało się, że jej wzrok kłuje szpileczkami tamtą drobną figurkę uwijającą się niezdarnie wśród pasażerów w tyle wozu. Zauważyłem, że dziewczyna czuła się nieswojo pod tym wzrokiem. Przeplatała nożynami po podłodze samochodu jak po chwiejącym się rusztowaniu. Zgrabiłymi od zimna palcami otwierała, to zamykała drewnianą skrzyneczkę pełną biletów, pieniądze wymykały się z jej rąk, myliła się. Widać było jednak na jej szczupłej twarzyczce zaciętość i silne postanowienie opanowania sytuacji. Zaciśnięte usta podkreślały jej upór i wolę zdania egzaminu jaknajlepiej.

"...wczoraj bibliotekarka w Pleckach powitała mnie słowami":

- Miałam przeczucie, że dziś iaj pan przyjedzie...

- Nie zawsze was te przeczucia nawiedzają - odpowiedziałem.

???

-Tyle razy przecież zastałem was w godzinach pracy poza biblioteką...

Spuściła oczy, ale zaraz, za chwilę poczuła się pewniej, jakby te słowa nie do niej były wypowiedziane. Miała bowiem niebywałą zdolność natychmiastowego niemal zapomnienia najbardziej drażliwych uwag. Poprosiłem o księgę wizytacji i punkt po punkcie zacząłem sprawdzać przebieg wykonania wpisanych tam ostatnio zaleceń. Rzecz się zasadzała o zgoła drobne czynności. Wpisanie do księgi inwentarzowej kilkunastu książek z ostatniego przydziału, skatalogowanie ich i naklejenie sygnatur, następnie kontynuowanie katalogu alfabetycznego i rzeczowego. Jak się okazało bibliotekarka nic z tego nie zrobiła.

- Dlaczego ? - spytałem.

Jakiś uśmieszek, ale raczej przyjazny zabłąkał się na jej twarzy.

Sięgnąłem z kolei po księgę inwentarzową. Niechlujne pismo i kleksy uderzyły niemiłosiernie w oczy. Uczułem, że palce mojej prawej ręki zwierają się na okładzinach tej księgi. Spytałem:

- Koleżanko, czy macie w swojej bibliotece książkę, któby napisał "Serdaczek" ?

Zawahała się chwilę więc poprosiłem, by odnalazła tę książkę na półce. Po dłuższej chwili położyła ją na stole. Otworzyłem tę książkę na stronie tytułowej i wiodąc palcem wzdłuż nazwiska autora rozkazywałem oczyma, by je głośno odczytała.

- Se-dla-czek!

- To dlaczego piszecie w inwentarzu "Serdaczek"?,.

Na dalszych stronach aż roilo się od błędów. Wskazując palcem na te błędy pytałem z całą surowością:

- Nałgowska, czy Nałkowska?

- Nałkowska.

- Machejew, czy Machejek ?

Znowu kazałem sięgnąć po książkę.

- Machejek !

Patrzyłem się z politowaniem na jej twarz przez dłuższą chwilę konkretyzując w sobie pewnik, że moje wysiłki nie odniosą tu najmniejszych rezultatów. Już tyle miesięcy uczę zalecam i wreszcie grożę... Ale komu powierzyć tę bibliotekę? Każdy woli bardziej intratną posadę...

Siląc się na spokój, spytałem jaknajbardziej łagodnie:

- Dlaczego nie robicie tego uważnie? Tyle razy wam tłumaczyłem... Przecież to jest zwykle przepisywanie !

- Ja się poprawię, panie kierowniku.

Znowu pokiwałem głową.

- Wkraczacie dopiero coby w życie, koleżanko. Weźcie się w garść. Popracujcie nad sobą. Pamiętam czasy, w których praca nie podścielala się w ręce tak jak teraz. Macie szerokie możliwości przed sobą.

Słuchała, zdawało się, uważnie, z aprobatą. Blask żarówki zawieszonyj pod sufitem kładł się na regałach i sprzętach biblioteki. Na stole, na krzeselku i na podłodze piętrzyły się stosy książek. W niedużej skrzyneczce widniały karty czytelników korzystających z biblioteki. Spytałem:

- Czy jest dużo osób, spośród młodzieży, no, powiedzmy w waszym wieku, którzy nie figurują w tej kartotece?

- Jest kilkanaście osób - odpowiedziała z pewnym namysłem i zaraz pośpieszyła z usprawiedliwieniem:

- Oni nie chcą słuchać o książce. Jeśli przyjdą do biblioteki albo do świetlicy, to chyba tylko po to, żeby "nagrandać". Przeważnie chodzą wieczorami po ulicy. Teraz i do świetlicy mniej zagląдают, bo kierownik nie pozwolił im "dokaazywać", a propozycje zorganizowania zespołu nie trafiły im do przekonania.

- Nie mają więc żadnych zainteresowań?

- Oni by chcieli książek ciekawych, sensacyjnych i "kryminałów".

- Przecież macie w swej bibliotece wiele ciekawych książek - odparłem. Omawialiśmy je często na szkoleniach w bibliotece powiatowej. Czy próbowaliście ich zainteresować tymi książkami ?

- Próbowałam...

- Bez rezultatu ?

Dziewczyna milczała. Miała już precyzować jakąś odpowiedź, ale w tej chwili dopłynął z sieni odgłos czyichś kroków zmieszany z fragmentami prowadzonej z ożywieniem rozmowy. Do biblioteki weszły dwie kobiety. Jedna z nich przytrzymywała ramieniem trzy dość mocno podniszczone książki... "

—ooOoo—

Raptem samochód zaczął hamować. Siłą bezwładu pochylilem się do przodu i w tej sekundzie usłyszałem za sobą jakiś trzask. Odwróciłem się szybko w tamtą stronę i zobaczyłem najpierw leżącą na podłodze samochodu drewnianą skrzyneczką z rozrzuconymi bibletami, a później właścicielkę tej skrzyneczki gramolącą się z pomiędzy czyichś kolan. Dwaj młodzieńcy jakby zastygli ze swoim wzrokiem utkwionym w tamtym kierunku.

Dziewczynina wyciągnęła w pośpiechu ręce po swoją zgubę i nerwowymi ruchymi zaczęła zbierać bloczki rozsypane po podłodze. Samochód stanął. Usłyszałem syczenie sprężonego powietrza, drzwi się otwarły i ktoś wysiadł na swoim przystanku. Konduktorka, ta w szynelu służbowym stała nadal nieporuszenie na swoim miejscu z rękami głęboko zasuniętymi w kieszenie płaszcza. W ciszę, jaka ~~właśnie~~ osiadła we wnętrzu samochodu, jak ten syk sprężonego powietrza, wtargnęły drwiące słowa:

- Stoi jak ta królewna z rękami w kieszeniach...

Skierowała powoli wzrok na ~~właścicielkę~~ tego w wojskowym uniformie i nie śpiesząc się wycedziła:

- A co, pan chce, bym je panu na głowę założyła ?

Tamci zaśmieli się urwanym urwanym chichotem, ale zaraz ucichli. Znowu powietrze zasyczało, drzwi się automatycznie zamknęły, samochód jednakowoż nie ruszał z miejsca. Tamta, nieco uspokojona po tej przygodzie skuliła się w oczekiwaniu na odjazd. Konduktorka-nauczyciel raczyła podpowiedzieć ze swego stanowiska:

- Sygnał !

Nowicjuszka z pośpiechem wyszukała guzik ukryty na drążku pod sufitem i na przesłany szoferowi znak ruszyliśmy w dalszą drogę.

Niebawem samochód wpadł między pierwsze zabudowania Piecek. Ukazał się najpierw okazały gmach szkoły podstawowej i tuż za nim budynek gromadzkiej rady narodowej. W centrum wsi usadowiły się sklepy GSu, kino i gospoda. Świetlica gminna z biblioteką przytulili się w budynku przedszkola, ukrytym na uboczu, w ciszy.

Na przystanku w Nawładach wysiadł ostatni pasażer. Zostałem sam. Młoda kandydatka na konduktorkę oddała się z całą pracowitością czynności segregowania pomiętych banknotów. Skoncentrowała na tej pracy całą swoją uwagę. Jej nauczycielka zaś zajęła pozycję pozycję w sąsiedztwie szofera zamieniając z nim od czasu do czasu po kilka zdań.

Mijałiliśmy Stary Kielbąk. Samochód wysunął się z tej wsi w stronę Zgonu wchłaniając pod siebie coraz to nowe odcinki drogi. Zimowe słońce ukazało się na dobre z za lasów oświetlając pofałdowany teren. Tu i ówdzie błysnęło w oddali tafla wody. W Zgonie, gdzie samochód przebiega w pewnym miejscu tuż nad jeziorem, przypomniało mi się, że to

11

jezioro to Muker. Wywołało ono letnie wspomnienie Karola Małzka, autora "Wesela Mazurskiego", który osiadłszy w pobliskiej Krutyni rozpamiętywał nad historią ziemi mazurskiej. Owocem tej pracy było m.in. opowiadanie "Oracki wieniec" zamieszczone w czerwcowych numerach "Głosu Olsztyńskiego". Zwierzał mi się w lecie, w czasie spotkania na ulicy w Mrągowie, że to opowiadanie jest częścią zbioru, który ukaże się niedługo w postaci książkowej. Ta przyszła książka, której oczekiwałem z niecierpliwością będzie miała tytuł: ~~istotnie~~ "Jest dąb nad Mukrem". A więc historia wzięta z tego zakątka mazurskiego. Życiorysy Mazurów - komunistów: Frycza Łazarza ze Zgonu, Kurta Komnika z Mrągowa, Gustawa Bendisza, Dopadki z Mojtyń i innych. Kurta Komnika i jego żonę ~~nie~~ znałem osobiście z różnych zebrań i akademii organizowanych w Mrągowie.

O tymże zakątku mówi także Melchior Wańkiewicz w swej głośnej książce "Na tropach Smętka". Czytałem ten utwór bardzo dawno, ale niektóre partie książki, zwłaszcza te, w których występują poznane teraz miejscowości, ożyły teraz na dobre. A więc wieś Zgon, do której pisarz przypłynął kajakiem w roku 1935 trafiając na śniadanie do jednego z mieszkańców tej wioski, ex-podoficera armii niemieckiej, który przed pierwszą wojną światową okupował Warszawę... Ot, tu, we wsi o nazwie Krutyński Piecok, niejaki Wilhelm Kopka, w rozmowie z polskim "turystą", stwierdzał już wówczas, w roku 1935, że "heil Hitler" przyszło i przejdzie, a "dzień dobry" było i zostanie".

Sprawdziły się słowa starego Wilhelma Kopki. W roku 1945 "Heil Hitler" umknęło stąd w kierunku na zachód,

z południa zaś i ze wschodu nadciągnęli tu z pozdrowieniem "dzień dobry" nowi osadnicy. ~~Też to już dziesięć lat gospodarstwa~~ Życie "napływowych" z "autochtonami" splotło się w jeden organizm gospodarczy, społeczny i kulturalny. Toż to już dziesięć lat upłynęło na tym wspólnym gospodarowaniu!

- A otóż i Kratynia-wieś. Ostatni przystanek przed Ukcią. Kilka kobiet opatulonych w czarne palta i także bermyce na głowach taszczyło się do samochodu. Dyrygował nimi jakiś znajomy głos.

- Prędzej białki, prędzej, bo zimno !!! - wykrzykiwał dobrodusznie. Za głosem windował się do wnętrza wozu kapelusz, a pod nim osmagana mrozem twarz... Karola Małzka. Usadził swoje towarzyski na siedzeniach, a sam stanął w przedzie wozu. Napotkaliśmy się wzrokiem w chwili, gdy samochód ruszał w dalszą drogę, w stronę Ukty. Podniosłem się z pośpiechem na nogi przesyłając mu ukłon pełen szacunku.

---oOo---

Na przystanku w Ukcie witał mnie z wyraźną radością Ryszard Gimel, ten od Skowrońskiego. Rysio był oszczędny w słowach i powolny, ale teraz nawiedziło go jakieś szczególne ożywienie.

- Dobrze, że pan przyjechał - cieszył się. - Samemu nie jest zbyt wesoło w tej daleczyźnie.

Ja też byłem rad z jego obecności. Polubiłem tego chłopaka, przede wszystkim za jego poważne traktowanie swoich obowiązków i pracowitość. Ilekroć go zastałem w Oddziale Kultury, to zawsze pogrążonego pilnie nad jakimś zajęciem.

Cwiczył na akordeonie, studiował repertuar teatralny lub załatwiał zleconą korespondencję.

Gimel był absolwentem Liceum Sztuk Plastycznych w Zamościu. Przybył do Mrągowa i akurat trafił do Oddziału Kultury na stanowisko instruktora. Przyjęto go z otwartymi rękoma. Pracownika z takimi zdolnościami nie łatwo było znaleźć. Tutaj, jako instruktor amatorskich zespołów teatralnych i wogóle pracy świetlicowej wprzął się w kierat tych zadań bez reszty. W najgorszą pluchę, po błocie do kolan, w najgorszy mróz szedł do najodleglejszych wiosek z pomocą w kojarzeniu zespołów artystycznych bądź też podtrzymywania działalności w już istniejących.

- Jak się masz generale Gudin? - witałem go nieraz tą analogią. Z sylwetki Gimla przebijała bowiem stanowczość i męskość, wola ~~stwierdzenia~~ realizacji nakreślonych planów. ~~Mył~~ On by też chyba bez wahania poszedł na Grimsel jak ów francuski generał z opowiadania Żeromskiego... W Ukcie przebywał od kilku dni starając się za wszelką cenę zorganizować jakieś życie kulturalne. Z nowym lokalem świetlicowym i bibliotecznym wiązał, podobnie jak kierownik Oddziału, pewne nadzieje.

- Najpierw chciałbym zobaczyć ten nowy lokal - powiedziałem. Ruszyliśmy więc z przystanku w stronę gmachu, którego parter zajmowały sklepy GSu, a na górze miały być przygotowane "apartamenta" świetlicowe i pokój na bibliotekę. Przez długi i ciemny korytarz, po krętych schodach dostaliśmy się na tę "górze". Znowu długi korytarz i szereg drzwi po obu stronach.

- To tutaj - objaśnił mię mój przewodnik otwierając drzwi i zapraszając do obszernej izby. Przywitał nas blask

słoneczny aż zmrużyliśmy oczy, ale jednocześnie uderzył falą mróz, bodajże jeszcze większy niż na dworze.

Lokal był świeżo odnowiony, nawet ładnie i czysto wyglądał. Trzeba było tylko w nim dużo ciepła.

- Opał Prezydium zapewniło - objaśniał Gimel - Trzeba by tylko wypełnić te puste sale życiem świetlicowym. Ten pokój chyba będzie odpowiadał dla biblioteki? Sąsiedni byśmy przeznaczyli na czytelnię i gry towarzyskie, mogłyby tu się odbywać dyskusje o książkach, wspólne czytanie... Dalej nauka gry na instrumentach, następną salę przewiduję na zajęcia zespołów: tanecznego, chóru, teatralnego. Gdyby tylko dało się takie zespoły zorganizować... Wczoraj byłem w spółdzielni tkackiej, gdzie pracuje dużo młodzieży z Ukty, Wojnowa i okolicznych wiosek, byłem w GSie, w szkole... Na jutrzejszy wieczór zaplanowaliśmy zebranie młodzieży. Ma się odbyć w Tkalni.

- A jak z kierownikiem świetlicy? - spytałem. Wiedziałem, że jeszcze w lecie kierownik Oddziału pertraktował w tej sprawie z Makarowskim, bratem mojej bibliotekarki, ale ostateczny wynik był mi nieznany.

- Waha się. Może i przyjmie. Ale o tym, by porzucił nauczycielstwo i przeszedł na etat kierownika świetlicy nie ma co się łudzić. Nie zgadza się nawet na przyjęcie ryczałtu. Tłumaczy się nawałem pracy pozalekcyjnej, a najważniejszą przyczyną, to jest obawa, że nie będzie się mógł żadną pracą wykazać.

- Przynajmniej jasno sprawę stawia. - zauważyłem.

- Tak jest.

Po chwili Gimel zapytał:

- Czy prawda, że istniało tu kiedyś życie świetlicowe?

- Prawda! Istniał tu zespół teatralny, chór. Pamiętam, te zespoły z ich występów w Mrągowie, a zespół teatralny brał udział w eliminacjach centralnych w Warszawie. Wystawiano wówczas "Wesele Mazurskie".

- Dlaczego teraz jest taki zastój? - ciekawił się Gimel.

- Rzeczywiście, jest to ciekawe zjawisko. Myślę, że na ten fakt składa się wiele różnych spraw biorących się z życia codziennego. Wyczuwam, żeśmy się znaleźli na krańcach jednego etapu, a do drugiego nie możemy znaleźć właściwej ścieżki. Zjawisko to winno winno się stać przedmiotem jakichś zorganizowanych badań, dociekań i w wyniku tych przedsięwzięć winien przynieść jakieś nowe koncepcje i rozwiązania.

Kierowaliśmy się już w stronę drzwi wyjściowych, gdy na progu ukazał się sekretarz Prezydium GRN, Sidorenko, a za nim stary Makarowski, ojciec mojej chorej bibliotekarki. Zaczęli się ze mną witać jakby z tym, którego brak było do zamknięcia jakiejś całości. Z sekretarzem nie widziałem się od czerwca, kiedy to z ramienia powiatu dozorowałem nad spisami rolnymi w Ukcie. Sidorenko się wówczas solidnie napracował nad tymi cyferkami. Gdy mu się coś nie zgadzało w ~~tych~~ cyferkach, zaczynał ~~się~~ najpierw trześć w łysinę, a później pędził na kufel piwa do gospody. Sprawami kulturalnymi ~~z~~ interesował się bardzo, co najjaskrawiej było widoczne w jego staraniach o zapewnienie placówkom kulturalnym jaknajbardziej możliwych warunków pracy. Teraz chciał mi pokazać odremontowane pomieszczenia na świetlicę i bibliotekę, więc jeszcze raz przeszliśmy się po pokojach.

Sidorenko nie bez pewnej dumy mówił o nowym lokalu dla świetlicy i biblioteki, zapewniał, że zaraz przyjdzie sprzątaczką i w piecu napali, że już zamówił furmankę do przewiezienia szaf i książek. Naturalnie, cieszyłem się z tego głośno, chwaliłem ten akt dobrej woli ze strony sekretarza, wyrażałem również nadzieję, że obie placówki na tym połączeniu zyskają.

- Czy Gizelka jest mocno chora? - zagadnąłem starego Makarowskiego.

- Już jest jej lepiej. Za dwa dni napewno przyjdzie do biblioteki.

- Co jej jest?

- Przeziębienie.

- Niech poleży, aż zupełnie wyzdrowieje, - poradziłem.

~~zostawiamy Makarowskiego~~ - Niech się nie śpieszy. Dziś przemieśliśmy bibliotekę, a jutro uporządkuje jej księgozbiór.

Zaraz też rozeszliśmy się każdy do swoich zajęć. Było już południe, a przed nami tyle pracy z tą przeprowadzką. Wchodziła w grę ewentualność, że furmanka może nie nadejść na czas, a może wogóle się nie zjawić. Wyjaśniłem więc Gimlowi w jakiej kolejności ma brać książki z półek i wiązać je w paczki, a sam poszedłem do biura Prezydium mieszczącego się w przyległych pokojach, do telefonu. Za kilka chwil rozmawiałem z kierownikiem szkoły przedkładając prośbę, by przysłał kilkunastu uczniów do pomocy w noszeniu książek. Naturalnie zgodził się bez wahania przyrzekając pomoc na godzinę czternastą. Miałem więc pomoc zapewnioną, ~~zostawiamy Makarowskiego~~ Spodziewałem się, że kierownik mi nie odmówi i nie zawiodłem się w swoich przypuszczeniach. Z kierownikiem szkoły znałem się od listopada

Kierownik szkoły, pan Hamermajster był przecież organizatorem tej biblioteki. On ją uruchomił w roku 1949 i on wpisywał pierwsze "woluminy" do książki inwentarzowej. On pierwszy rozpoczął wypożyczanie książek. Być może dlatego pielęgnował w sobie sympatię dla biblioteki i przejmował się wszystkim, co się z nią wiązało. Moja znajomość z nim datuje się od grudnia 1950 roku, kiedy to pierwszy raz "wizytowałem" tę placówkę. Wynieśliśmy z tej wizyty wspólne zrozumienie zadań stojących przed tą placówką w tutejszym środowisku.

Dobrze jest mieć sprzymierzeńca dla swoich spraw w dalekim terenie. Człowiek czuje się wtedy o wiele pewniej.

~~Pe powrocie do biblioteki zajęła się wiązanie książek w paczki~~

.....

Nie zdążyliśmy powiązać wszystkich książek w paczki, spakować katalogów i kartotek, a już stanęli w dwuszeregu gotowi do wykonania czekających zadań. Przeprowadził ich młody pedagog, brat Gizeli, ten sam, którego kaptowano do objęcia świetlicy. Ustawiłem ich w rzędzie, jedno za drugim, z surowym przykazaniem zapamiętania kto za kim stoi, by w takiej kolejności brali książki i w takim samym porządku składali je tam, w nowym lokalu. Zrozumieli naturalnie w lot zabierając się ochocho do dzieła. Gimel wydawał paczki, młody Makarowski zobowiązał się do pilnowania porządku na trasie, a ja z pierwszą partią pomocników pomaszerowałem do nowego lokalu bibliotecznego. Tam składaliśmy paczki wprost na podłozie według ustalonego porządku i kolejności. Niestety, nie dało się utrzymać tego rygoru. W trakcie noszenia książek któryś z uczniów

podstawił swej koleżance nogę, drugi wsypał jej śniegu za kołnierz, wkraść się chaos i zamieszanie. A już pod koniec tej imprezy zapanował zupełny rozgardiasz. Korytarz i schody zaczęły rozbrzmiewać tupotem licznych nóg i śmiechem niepoohamowanej młodości. Nie mogłem brać im tego za złe, że chcieli sobie trochę pofolgować. Wszak to było już po lekcjach. I tego, że gdym wychodził z korytarza na ulicę w grupie ostatnich urwaczków, otrzymałem, podobnie jak i oni niezłą porcję pigułek, wycelowaną z precyzją przez tych, którzy już zdążyli swoją powinność noszenia książek wykonać. Stałem na schodach obserwując przez dłuższą chwilę igraszki młodzieży. Kule śniegowe krążyły gęsto, a wraz z nimi różne wykrzykniki i nawoływania, raz po niemiecku, raz po polsku.

Niespodzianie, w całą tę zabawę wtoczył się wóz z szafami bibliotecznymi, pilotowany przez Gimla i młodego Makarowskiego. Dzieciarnia obskoczyła ten pojazd jak stado wróbli. Po paru minutach miałem już całą bibliotekę na górze. Najwyższy czas, bo już i zmiersch zaczął się sączyć przez szyby okienne. Zarzący się ^{piecu} w ~~nieku~~ węgiel nabierał w tym mroku coraz to intensywniejszej barwy, rzucając smugę światła na podłogę. Zapaliłem lampę i stanąłem z nią nad stosem książek leżących na podłodze. W nich tkwił drugi etap przeprowadzki. Wiedziałem, że starczy mi pracy do późna w noc i na cały jutrzejszy dzień. Starczyło by nawet na cały tydzień. To też, nie zwlekając, zabrałem się do roboty. Z ustawieniem sprzętu nie miałem zbytniego kłopotu. Cztery szafy biblioteczne, dwa stoły, tyleż krzeseł, oto cały "umeblowanie" biblioteki. Odgłos przesuwanych szaf i krzeseł odbijał się echem po tych zakamarkach sprowadzając coraz

to nowych gości z książkami. Gimel z Makarowskim gdzieś się ulotnili, byłem zupełnie sam w tym pustkowiu, więc te niespodziane odwiedziny były mi nawet na rękę. Ponadto cieszyłem się z faktu, że oto już zdążyli się dowiedzieć o nowym lokum biblioteki i że oto idą w ślad za nią - z książkami i po książki. Tłumaczyłem im jaknajprzejmiej, że biblioteka jest nieczynna z powodu przeprowadzki i z powodu choroby bibliotekarki. - Będzie czynna za cztery dni - wyjaśniałem.

Zapaliłem drugą lampę /Gizela miała ich całą kolekcję/ i wystawiłem ją na korytarz z myślą o tych, którzy mogą jeszcze ewentualnie nadejść. W korytarzu bowiem i na klatce schodowej panowały przysłowiowe egipskie ciemności. Przyszło jeszcze kilkoro osób, wśród nich dzieci. Te ostatnie powtarzały szeptem: "... za cztery dni... w środę..." jakby chciały dokładnie sobie ten termin zapamiętać. Słyszać było ich drobne kroki na korytarzu, potem na schodach, wreszcie ginęły gdzieś na dole w głębi budynku.

W pewnym odstępie czasu znowu skrzypnęły drzwi wejściowe. Właśnie niosłem spod ściany paczkę książek, gdy ten ktoś stanął w świetle lampy ~~pałacymszyka~~ lokując czapkę wraz z dwoma książkami na stole. Był to czytelnik "dorosły", w granicach wieku 16-17 lat. Gdy się znalazłem w zasięgu światła, wtedy dopiero powiedział:

- Dobry wieczór... panu! -

Wyczułem w tych słowach nutę zdziwienia. W pewnej sekundzie uświadomiłem sobie że przecież tego młodziana znam...

- Ach, dobry wieczór! - odpowiedziałem rad z tego spotkania. - To tobie w zeszłym roku ściągnąłem czapkę

z głowy, wtedy, gdyż tam tak "wyczyniał" w tej bibliotece.

Przypomniała mi się nagle cała ta scena. Był ciemny listopadowy wieczór. Zjawiłem się wówczas niespodzianie w Ukcie, zaglądam i, korzystając z chwili wolnego czasu zajrzałem do biblioteki. Trafilem w sam środek istnej batalii. Grupa wyrostków wodziła się za głowy, ciągnąc za sobą stoły, krzesła i co tylko znalazło się pod ręką. Naprawdę unosił się nad nimi rozpaczliwy głos Gizeli. Wzrasnąłem na nich by się natychmiast uspokoiłi, a właśnie temu, największemu ze wszystkich, ściągnąłem czapkę z głowy.

Chłopak teraz stał przede mną bynajmniej nie zrażonym przypomnieniem. Owszem, wydobyłem ~~ty~~ na jego twarz przebłysk energii i ruchu.

- Czy jeszcze i teraz lubisz tak rozrabiać? - spytałem.

- Jak się zdarzy! - odpowiedział bez wahania.

- Chciałbym się zobaczyć teraz w takiej roli. Myślę, że byłoby ci z tym niezmiernie do twarzy. A już i wąs, widzę, sypie ci się pod nosem.

- Tak, Horst - dodałem - lata lecą. Usiadłem przy piecu, podsuwając drugie krzesło gościowi.

- Siadaj.

- Przyszedłem książki zmienić.

- Nie widzisz, że biblioteka jest w proszku?

Gwarzyliśmy przez jakiś czas o różnych sprawach dotyczących Ukty i okolic. Dowiedziałem się również w toku tej rozmowy, że mój przygodny rozmówca skończył w zeszłym roku szkołę podstawową, a teraz chciałby się zabrać za jakąś robotę, pragnąłby zdobyć zawód. Dotychczas jest na utrzymaniu matki, ale przecie nie może to tak długo trwać, więc go traktor i chyba zostanie traktorzystą.

- To świetnie, że masz takie zamiary - pochwaliłem.

- Ciekawią mnie książki o "pojazdach mechanicznych" i wogóle o technice.

- Ach, to może pewnie dla ciebie Gizelka wypożycza z Biblioteki Powiatowej książki na ten temat ?

- Może i dla mnie.

- Kilka jej wypożyczyłem, ale za wiele też nie mamy w swoich zbiorach. A te co są, będą napewno za trudne dla ciebie.

- Będę sobie jakoś radził...

~~Pomagał mi jeszcze jakiś koleś~~ Gawędziliśmy jeszcze jakiś czas, potem wróciłem do przerwanej pracy. Mój "technik" sekundował mi w niej pomagając w ustawianiu książek na półkach, wreszcie, jakby sobie coś z nagła przypomniał, powiedział "dobranoc" i znikł za drzwiami. Niebawem nastąpiła taka cisza, że aż w uszach dzwoniło. Usiadłem przy otwartych drzwiczkach pieca, bo już zaczynało być zimno i zagłębiłem się w segregowanie różnych szpargałów nagromadzonych w bibliotece bez liku. Były to stare gazety, stosy broszur i ulotek o zwalczaniu chwastów, różne poradniki propagandowe, poradniki agitatora, które już dawno straciły na aktualności, ulotne druki o zwalczaniu stonki ziemniaczanej itp. Po stronie "niepotrzebne" gromadził się niemałych rozmiarów stos.

Segregując tak ten materiał natrafiłem nagle wzrokiem na rąbek karty zeszytowej wystającej ze stosu innych papierzyk, na której zauważyłem wypisane ręką Gizeli dwa wyrazy : "...nasz Gołowicz". Był to niewątpliwie tylko urywek

- To świetnie, że masz takie zamiary - pochwaliłem.
- Ciekawią mnie książki o pojazdach mechanicznych i wogóle o technice.

- Ach, to pewnie dla ciebie Gizelka wypożycza książki z Biblioteki Powiatowej na ten temat ?

- Może i dla mnie.

- Kilka jej wypożyczyłem, ale za wiele też nie mamy w swoich zbiorach. A te co są, będą napewno za trudne dla ciebie.

- Będę sobie jakoś radził...

Gawędziliśmy jeszcze jakiś czas, potem wróciłem do przerwanej pracy. Mój "technik" sekundował mi w niej pomagając w ustawianiu książek na półkach, wreszcie, jakby sobie coś z nagle przypomniał, powiedział "dobranoc" i, znikł za drzwiami. Niebawem nastąpiła taka cisza, że aż w uszach dzwoniło. Usiadłem przy otwartych drzwiczkach pieca, w którym jarzyły się resztki węgla i zagłębiłem się w segregowaniu różnych szpargałów nagromadzonych w bibliotece bez liku. Były to stare gazety, stosy broszur i ulotek o zwakczaniu chwastów, różne poradniki agrotatora, które już dawno straciły na aktualności, ulotne druki o zwalczaniu stonki ziemniaczanej, wszelkiego rodzaju stare plakaty i. t. p. Po stronie "niepotrzebne" gromadził się niemałych rozmiarów stos.

- Po co ta Gizelka tak konserwuje to wszystko! - zniecierpliwilem się. Szpargalia te wyzierały z każdego kąta wpływając tym w ujemie i tak na niezbyt estetyczny wygląd lokalu.

93

Segregując tak ten "materiał" spostrzegłem nagle wypisany na kartce zeszytowego papieru urywek zdania kończący się słowami ... "nasz Gołowicz". Zaciekawiony, co też to Gizelka może o mnie pisać, wyciągnąłem czym prędzej tę kartkę z gmatwaniny różnych papierzysk i przybliżyłem pod światło lampy naftowej. Był na tej kartce notatki z przepisów katalogowania, różne esy-floresy, piramidy, rysunki i rysunczki, robione ot, tak sobie, dla zabicia czasu, a wśród tej płatniny widniał jeden "czetwiersz", niżej zaś drugi. Gizela pisała:

"Kierownik nasz Gołowicz
To jest chłop morowy
On wiele ciekawych rzeczy
Wbija nam do głowy."

- Ach, tak! - przypomniałem sobie nagle. - To jest "pamiątka" z dwutygodniowego kursu bibliotekarskiego w Mikołajkach, jaki się odbył we wrześniu tego roku... Jakże to niedawne czasy, a już oddzielone tylu różnymi sprawami i natłokiem piętrzących się zajęć, że wydawały się już być jakby zanikającym echem. A przecież wyniosło się z tego kursu tyle przyjemnych chwil. Mówię "wyniosło się" albowiem, z woli władzy wojewódzkiej /Wydziału Kultury i Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej/, pełniłem na tym kursie funkcję kierownika organizacyjnego, prócz tego miałem kilka godzin wykładów na temat "wizualnej" propagandy książki, czytelnictwa i bibliotek. Wdrażałem uczestników kursu, bibliotekarzy przybyłych tu z terenu województwa olsztyńskiego w arkana sztuki posługiwania się stalówką "redis", pisania "patykiem", sporządzania plakatów propagandowych, napisów informacyjnych itp. To stąd Gizelka zaczerpnęła to określenie "chłop morowy"...

Funkcję kierownika pedagogicznego kursu pełniła kierowniczka Powiatowej Biblioteki Publicznej w Biskupcu, p. Halina Bartkowska

Jako "spec" od techniki bibliotecznej uczyła pani Bartkowska przepisów katalogowania, klasyfikacji, układania kart katalogowych w katalogi, objaśniała, co to jest katalog alfabetyczny i czym się różni od rzeczowego. Pobierała także te "nauki" Gizela, szesnastoletnie dziewczę, mająca za sobą zaledwie dziesięciomiesięczny "staż" pracy bibliotekarskiej. Pracowała z zapalem, miała bowiem ambicję ukończenia tego kursu z wynikiem jaknajlepszym. Sledziłem ją w toku różnych zajęć ugruntowując się w przeświadczeniu, że z tej dziewczyny będę miał samo chyba zadowolenie. Nie kryła się ze swoim szczerym pragnieniem "rozczytania" współmieszkańców Ukty i okolic, wśród których wychowała się od dziecka. Stawiała sobie to zadanie na naczelnym miejscu. Natomiast w dalszej swerze jej pojęć leżała potrzeba posiadania przez bibliotekę wzorowych katalogów bibliotecznych. Bywało, że książki z nowych przydziałów wydawała czytelnikom bez uwidocznienia ich w katalogach bibliotecznych. W konsekwencji wiele książek było nie uwidoczniionych w katalogach, a tym samym jaby nie istniejących dla czytelnika. Zresztą ostnio, zapędzeni w różne akcje konkursów czytelniczych nie mieliśmy wogóle czasu na zajmowanie się takimi sprawami jak katalogi. Zagadnienie to zostało zepchnięte na dalszy plan jako czynność nie dająca żadnego efektu nazewnątrz. Istniały więc ogromne zaległości na tym odcinku pracy bibliotecznej i to zaległości występujące we wszystkich niemal bibliotekach. Bywały placówki biblioteczne, zwłaszcza te "na ryczałtach", które nie posiadały żadnych katalogów. Czysty nonsens: biblioteka bez katalogów! Dobrze się więc stało, że w programie kursu przewidziano cały szereg godzin na tego rodzaju prace, i że to zagadnienie powierzono tak doświadczono-

książki temu bibliotekarzowi jak pani Bartkowska z Biskupca. Właśnie pod jej adresem była skierowana ta druga strofka "utworu" mojej Gizeli. Spośród plątaniny kresek i przeróżnych znaków wyłowilem słowa-westchnienie:

"No, a pani Bartkowska,
Ta zawsze ma coś nowego.
Ach, z tym katalogowaniem
To jest coś okropnego."

- Czekaaj, czekaaj, Gizelka! Już ja cię przypilnuje z "tym katalogowaniem" - pomyślałem. ~~zdecydowałem~~ Zważałem się, na który stos odłożyć tę kartkę, wreszcie włożyłem ją sobie między kartki notesu i zarazem zanotowałem w nim co następuje:

"Jednym z najważniejszych obecnie zadań jest opracowanie we wszystkich bibliotekach powiatu nie tylko katalogów podstawowych, lecz również katalogów tematycznych /np. powieści historyczne, książki dla gospodyń wiejskich, tematyka regionalna itp."/

Węgla już dawno w piecu wygasły, zaczynało być coraz chłodniej. Spozstrzegłem, że jest mi zimno. Suchy prowiant zjedzony na obiad nie dawał organizmowi potrzebnej ilości kalorii. Zacząłem spacerować po pokoju bibliotecznym tam i z powrotem rozmyślając nad różnymi sprawami, a przede wszystkim nad tym, że już w warto by było iść spać, a przed tym zjeść gorącą kolację. Gimel zamówił dla mnie "kwaterę" i pożywienie u pani Gritzen, popularnie zwanej Griczanką, starej Mazurki, która utrzymywała coś a la hotel dla przyjezdnych. Gdzie indziej na wsi trzeba było się martwić o nocleg i strawę, tu na szczęście ten problem odpadał. Staruszka, nie mająca w pobliżu żadnej rodziny /mąż zginął walcząc w szeregach Hitlera/, utrzymywała się z tego hoteliku i z paczek przysyłanych z Niemiec Zachodnie. Naogół materialnie stała dobrze, tylko coraz bardziej dawał

się jej we znaki uprzykrzony reumatyzm. Nawet leki otrzymany z Niemiec niewiele skutkowały. Opowiadała mi nieraz ciekawe historie o tutejszych stosunkach przedwojennych, o Mazurach i Filiponach, zamieszkujących pobliskie wioski, o swojej Starej Ukcie, w której wychowywała się od dziecka. O Hitlerze wyrażała się ze złością ^{nieukrywaną} topioną w słowie "Hund". Pomimo starczych lat utrzymywała swój domek w idealnej czystości i porządku.

Niebawem zjawił się Gimel z Makarowskim. Rysio był w doskonałym humorze, albowiem jak się zaraz dowiedziałem, młody pedagog przyjął funkcję ryczałtowego kierownika świetlicy. Ucieszyła i mnie ta wiadomość - może wreszcie ruszy z miejsca ten trudny problem działalności świetlicowej. Pełni nadziei i różowych horoskopów maszerowaliśmy z Gimlem w stronę domku pani Gritzan.

Na wsi było cicho, przytulnie. Wszelkie sprawy dnia skupiły się teraz przy ognisku domowym. Wstęgi światła sączącego się z okien kładły się w poprzek ulicy, po której szliśmy. Griczenka przyjęła mnie dość wesoło, przypominając, że już tyle czasu u niej nie byłem. - Owszem, byłem kilka dni w lecie na spisie rolnym, ale dojeżdżałem z Mrągowa motocyklem. Zapewniła, że zaraz będzie kolacja prosząc o zajęcie miejsc w sąsiednim pokoju. Siedziało już tam kilka osób, przeważnie pracowników Powiatowej Rady Narodowej, pełniących podobnie jak my, służbę w terenie. Byli wśród nich starzy znajomi i koledzy. Nasze drogi niejednokrotnie spotykały się w różnych punktach powiatu. Musieli zostać na nocleg, gdyż w godzinach popołudniowych nie było w rozkładzie jazdy samochodu z Ukty do Mrągowa. Można się było dostać do stolicy powiatu jedynie rano, o 8

o godzinie 5.³⁰ lub w ciągu dnia jakąś okazją. Komentowali teraz swoje sprawy terenowe i śmiali papierony.

Na godzinę byłem już w łóżku i zasnąłem natychmiast jak kamień.

10 grudnia 55 rok.

Renek wstał pogodny, ale mroźny. Reumatycy chwalą taką pogodę & czują się weselsi. Stara Griczanka, uskarżająca się stale na zamianie w kościach, dziś kruszyła się żwawo po kuchni ^{pełna} ~~była~~ pogodnego usposobienia. Zapraszała do kawy, do jaj smażonych na słoninie, pytała się z troskliwością co przyrządzić na kolację - niech pan je, żeby pan nie był głodny.

Ginzel jeszcze spał, bo właściwie nie miał co do roboty w ciągu dnia. Przebakiwał ~~cały wieczór~~, że na dziś wieczór jest zapowiedziane zebranie młodzieży, które ma się odbyć w spółdzielni tkackiej w sprawie pracy świetlicowej. Do wieczora jeszcze daleko, może więc pospać. Na mnie zaś czekało dwa i pół tysiąca książek na wymagających uporządkowania. Udałem się więc w stronę biblioteki.

Słońce wyjrzało już z za Puszczy Piskiej, okolica była słoneczna i żywa. W prawo otwierało się rozległe pole, zanknięte na horyzoncie ścianą lasu, z bielejącą sylwetką klasztoru sekty filiponów. Klasztor "Skif", o którym wspomina Wańkiewicz w "Na tropach Smętka". Na lewo, pod Nową Uktę podchodziła

Puszcza Piska. W czerwcu tego roku, z ramienia powiatu, sprawowałem pieczę organizacyjną nad spisami rolnymi w Ukcie i korzystając z kilkudniowego tu pobytu, wyrwałem się na motocyklu w głąb tej puszczy, aż do Iznuty, nad jezioro Bełdan. Ciekaw byłem topografii tego zakątka i tej wioszczyny żyjącej wśród lasów. Wspominał o niej w swym pamiętniku student-Niemiec ze Szczecina, który w roku 1925 przywędrował w te strony na "rajzę" wakacyjną, notując ze zdziwieniem, że przecież te ziemie zamieszkuje słowianie, którzy niewiele potrafią po niemiecku... Karczmarz ze wsi Iznuty znał tylko jeden język - polski. Gęstym gotykiem uzewnętrzniał ów student swoje wrażenia z pobytu w Ukcie, Wojnowie, Rucianach. Stwierdzał krótko, że ta ziemia i ludzie na niej żyjący nie pasują do nazwy określającej się słowem: "Niemcy". Z ciekawości pojechałem tam - jak to też "to" teraz wygląda. Na warkot motoru wyległo z chałup kilkoro starych ludzi - Mazurów, ciekawiąc się kto i po co tu przyjechał. Rzuciłem im pytanie, pierwsze z brzegu, jakie mi się w danej chwili nasunęło, czy mianowicie, w miejscowej szkole są ... książki do czytania. Pytanie mogło się wydać dla nich dziwne, pośpieszyli jednak z rzeczową odpowiedzią, że owszem, są, tylko kierownik szkoły wyjechał na rowerze, zapewne do Ukty i szkoła jest zamknięta. Postawiłem więc motor przed szkołą na skraju drogi chylącej się w stronę niedalekiej odnogi wodnej nad którą dwóch turystów ślęczało z wędkami w rękach i zająłem pozycję obserwacyjną na schodach wiodących do budynku szkolnego. Z tej wyniosłości obserwowałem poletka zielonego zboża, bujny las w niedalekim oddaleniu, okazały budynek na wzgórzu za tą odnogą wodną, tuż za szkołą zaczynał się podmokły las liściasty, za którym podobno, jeśli wierzyć słowom przechodzącego chłopaczka, rozciąga się jezioro Bełdan.

Zaraz też wzięła się niewiadomo skąd ogromna burza z piorunami, które zaczęły bić jakby na wyścigi. Było coś wspa-
niałego w tym widoku. Obserwowałem przez ulewę tych dwóch
turystów, którzy z godnym podziwu stoicyzmem stali z wędami
w rękach na swych psterunkach. To była owa żyłka rybacka,
zamiłowanie niczym nieodparte.

Wraciałem z tego wypadu przemoczony, ale pełen jakiejś
wewnętrznej uciechy. Już w Ukle spostrzegłem, że tu wcale
deszcz nie padał, że świeci słońce i że jest zupełnie sucho.
Sidorenko się pytał, czym czasem nie wpadł z motorem do
Krutyni...

To było w czerwcu, a teraz jest grudzień i jest zimno.
Nad Puszcza Piską, gdzieś tam nad Iznutą wisiała nieruchomo
niebieskawa mgiełka.

W bibliotece, ku mojej radości, było już napalone. Widoczni
stało się to za sprawą sekretarza Sidorenki, który zapewne
chciał tym dopełnić swą pamięć o bibliotece i świetlicy.

- Pocciwy, stary Sidorenko... Nie wszyscy sekretarze
rad narodowych interesowali się sprawami bibliotek w takim
stopniu jak on. Ba, byli nawet tacy, którzy ani razu w czasie
swojej kadencji nawet nie zajrzeli do lokalu bibliotecznego.
Świetlica, to co innego. Tu, jeśli był jakiś efekt, to się
g o w i d z i a ło. To też na świetlice zawsze znalazły
się pieniądze, na potrzeby zaś bibliotek - nie zawsze.
Świetlica miała pomoc i poparcie wszystkich czynników,
o zainteresowanie natomiast sprawami bibliotek i o właś-
ciwą ocenę wyników ich pracy trzeba było w a l c z y ć.
Określenie "walka", "walczyć" przewijało się często w
górnym sferach bibliotekarskich. - Trzeba umieć walczyć -
mówiono - trzeba się "bić" o swoje sprawy. Walczyć... Cóż
z tego, kiedy bibliotekarze, z zasady spokojni, pogrążeni

w swej pracy "przyziemnej" nie zawsze potrafili się "bić". Ot i teraz trzeba było tyle godzin poświęcić na samo uporządkowanie księgozbioru i katalogów w tej jednej bibliotece, a przecież jest ich tyle w powiecie. Praca żmudna, nie dająca efektów nazewnątrz, a przecież konieczna.

Zakrzętnąłem się więc wokół tych prac. Brałem poszczególne egzemplarze książek i ustawiałem na półkach w kolejności alfabetycznej autorów. Zacząłem od literatury pięknej jako działu najbardziej poczytnego i wymagającego tym samym rychłego uporządkowania. Szedł więc Amado z Ziemią krwi i przemocy, Babajewski z Kawalerem Złotej Gwiazdy, następnie Brandys i jego Miasto Niepokonane, Kraszewski, ten stary, niezmordowany gaduła, a przecież cieszący się wciąż nieustającym zainteresowaniem rzesz czytelnicznych... A otóż i Michalska ze swoją Helą traktorzystką, Newerly prezentujący się Archipelagiem ludzi odzyskanych i zaraz Orzeszkowa, ta dzielna pozytywistka, podająca z kolei rękę "Sercu serc" Bolesławowi Prusowi. Rejmont, Sienkiewicz, Turgeniew, słynny Wilczek z Numerem 16 i na końcu "serce nienasycone", pisarz-poeta, niezrównany mistrz prozy polskiej - Stefan Żeromski.

Równiutkie rzędy książek, jak żołnierze w szeregu zapakniętych zaczęły zapełniać półki biblioteczne. Ogarnąłem je w pewnej chwili wzrokiem delektując się tym nowym porządkiem na półkach. Zjawiła się też zaraz chwila zadumy nad tymi książkami. Wiele tytułów cieszyło się prawdziwym powodzeniem wśród czytelników, szły z rąk do rąk, wędrowały z biblioteki, wracały do niej z powrotem, by znowu wyjść do ludzi i tak bez przerwy. Żyły prawdziwym życiem. Widziałem, niestety wśród nich cały szereg książek, które nigdy nie opuściły swego miejsca na półce. A więc Mirków, który nikogo nie "ruszył", różne Rodziny Lebiódów, Mosty nad urwiskiem, Kampania, która znaczy walka, Sprawa jednego konia, Traktory zdobędą wiosnę itd. itp. Wszelkie wystawy tych książek i plakaty propagandowe z takim mozołem i wielkim nakładem czasu wykonywane, nawet najpiękniejszy uśmiech bibliotekarki nie zdołały wcisnąć do rąk czytelnika tego typu literatury. Stały te utwory na półkach, znudzone i szare

Przecięcia

jakby w oczekiwaniu na litościwą decyzję tego ich nikłego żywota.

Taki sam los dzieliły broszury o tematyce rolniczej. "Jak uzyskać wysoki plon konopi", "Łąki i pastwiska", "Zbiór plonów", "Chów koni w spółdzielni produkcyjnej" i im podobne, oto tytuły wydawnictw po które nikt z ręki nie wyciągnął. ~~Srodowisko Ukty nie angażowało się umyślnie w ten rodzaj zagadnienia.~~ Albo cieniutkie zeszytiki cyklu wydawniczego Wiedzy Powszechnej. "Powrót z Akropoli" "Propyleje", "Zabytki przedhistoryczne i sposób ich badania" są to pozycje niewątpliwie ciekawe, ale dla kogo? Dla Mazura, który nie może się uporać z o wiele prostszym słownictwem? Dla Filipona? Dla pracownika Geesu? Stała więc ta harmonijka cieniutkich książeczek powiększając procent książek nieczytanych, niemal martwych.

Srodowisko Ukty nie angażowało się umyślnie w tego rodzaju zagadnienia.

Wiele książek więc nie "szło" rozpierając niepotrzebnie półki biblioteczne. Indentyczna sytuacja we wszystkich bibliotekach powiatu, województwa i ... chyba całego kraju.

.....

Gdzieś koło godziny trzynastej zjawił się pierwszy tego dnia czytelnik. Natarte mrozem policzki tchnęły świeżą czerwienią, a żywe oczy rozbiegały się po "nowym" lokalu bibliotecznym. Trzymana oburącz przed sobą niemałego formatu książka zasłaniała jedną trzecią tej "osoby". No, cóż, trzeba było wyłamać się z toku pracy i tę młodą latorośl załatwić. Prezentowałem więc temu małemu obywatelowi kolejne tytuły: Kaczkę dziwaczkę, Opowiedział dzięcioł sowie, Nikitka i jego przyjaciele, Baśń o ziemnych ludkach i cały szereg innych pozycji. Okazało się jednak, że miałem przed sobą nie byle jakiego czytelnika. Na każdy proponowany tytuł odpowiadał niezmiennie: czytałem, czytałem, to już czytałem. Byłem w kłopotcie. Gizela napewno

wiedziała co kto czytał, a czego nie czytał. Spostrzegłem jednocześnie, że dla takich małych brzdąców nie mamy za wiele książek w swoich bibliotekach. Irób tu z takim co chcesz!

Gdym się wreszcie z nim uporał, przyszli inni. Trzeba było się pożegnać z zaplanowaną czynnością opracowywania książek. Nie mogłem przecież odprawiać tych ludzi z kwitkiem. A przychodzili coraz to nowi. Mali, duzi i całkiem dorośli. Wśród nich trafiali się znajomi. Ci obiecywali sobie dużo z niespodziewanego spotkania ze mną /wiadomo - powiat! / ujawniając nadzieję otrzymania "coś dobrego". Jeden ze starszych czytelników, znany mi z jakiejś akcji prowadzonej swego czasu na terenie Ukty spytał, czy "ewentualnie w waszej bibliotece powiatowej niema książek Karola Maya? Bo tutaj niema.

- U nas, niestety, też nie ma. - odpowiedziałem

- To może jest "Głód" Hamsuna?

Zdziwiełem się tym pytaniem. Skąd ten Mazur jest tak zorientowany w literaturze?

- Czytałem kiedyś "Głód" w języku niemieckim, przeczytałbym jeszcze raz z wielką przyjemnością - mówił w tonie jakby pewnego usprawiedliwienia.

- Nie mamy tej książki - odpowiedziałem.

- A Będzie ?

- Trudno mi powiedzieć - wzruszyłem ramionami. - Pan zapewne zna tragedię Knuta Hamsuna z czasów ostatniej wojny ...

Odgadł co miałem na myśli. Powiedział:

- Panie, "Głód", to była pierwsza jego książka i właśnie Niemcy mu ją wydali. Nie mógł jej wydać we własnym kraju i może stąd ta kolaboracja ? Kto wie ?

- Chociażby - odparłem - ale czyż można było kłaść swój autorytet sławy literackiej w jedno łożysko ze zbrodnią i zdziczeniem ?

Po chwili pożałowałem tych słów. Przecież ten człowiek

był także jakąś częścią tej maszyny hitlerowskiej. Czy chciał, czy nie chciał, ale był. Doznałem pewnej ulgi, gdy z kolei za-
pytał:

- A czy pan czytał "Błogosławieństwo ziemi" lub "Augusta Powsinogę"?

- Czytałem bardzo dawno - odpowiedziałem.

- Myślę, że chciałby pan przeczytać poraz drugi.

- Istotnie, są to książki, do których się wraca - przyznałem.

Ciekawił się, czy i tych książek niema w bibliotece powiatowej. Odpowiedź negatywna spowodowała chwilę zadumy na jego zdrową, czerstwą twarz. Widać było, że nad czymś rozmyśla, a jednocześnie błędzi wzrokiem po nieokreślonej przestrzeni. Wreszcie, zabrawszy swoją książkę, pożegnał się ze mną dość serdecznie i poszedł. Długo po jego wyjściu jakoś nie mogłem strząchnąć z siebie tych słów z nim zamienionych. Przeciwnie, rozrastały się one i mnożyły oplatając sobą wszystkie epokowe dzieła literackie, jakie poznałem w swym życiu. Uporczywie nastreczały się słowa Sałtykowa-Szczedrina: "... literatura nie podlega procesom rozkładu, ona jedna nie uznaje śmierci".

Te mocne słowa układały mi się na stole razem z kartami czytelników urodzonych tu, w Ukcie i okolicznych wioskach. Literatura i ci oto ludzie:

Inga Fallak
Helga Scisło
Hennig Ulrych
Otto Sonenberg
Armin Frankenstein

Anita Lindenblatt
Ilza Bichel
Winfried Mendzak
Horst Toszka
Irena Krassowska
Manfred Kendziorra i caży

szereg innych nazwisk o podobnym brzmieniu.

Literatura - autochtoni - bibliotekarz powiatowy i te wszystkie sprawy ...

A ot, chociażby ten Manfred Kendziorra. Nazwisko ^{Kendzioryy} to wypłynęło w Ukcie przed stu laty. Tak, to Emilia Sukertowa-Biedrawina pisze w jednej ze swych licznych prac o Mazurach o tym, że to niejaki ksiądz Kendziorra z Ukty, po przejściu na emeryturę przemawiał na wiecach robotniczych jako "gorliwy socjaldemokrata" ⁴ ściągając tym na siebie oburzenie i gniew ówczesnych

władz pruskich. W innym miejscu czytałem wzmiankę tejże autorki o tym, że w Starej Ukcie i okolicy na 3 tysiące dusz liczone zaledwie 60 Niemców... Mowa polska była więc powszechną w tych okolicach.

Znowu dziesiątki kart czytelniczych rozsypały mi się wachlarzem na stole. Jak w barwnym filmie rysunkowym. Inga Fallak, Helga Scisło, Hennig Ulrych ... Nie, nie mogłem się już skupić nad katalogowaniem. Zacząłem więc przemierzać pokój z kąta w kąt, tam i z powrotem siląc się na wypracowanie jakiejś konkretnej linii polityki czytelniczej wśród tych ludzi.

Gdy znowu wstąpił po mnie, jak wczoraj, Ryszard Gimel przywitałem go pytaniem:

- Czy wiesz co mówił niejaki Samuel Smiles, angielski myśliciel, filozof i moralista ?

Gimel wyraził najpierw milczące zdziwienie, ale, będąc przyzwyczajony do tego rodzaju pytań z mojej strony, rzucił czapkę na stół i usiadł ciężko na krześle nie odzywając się ni słowem.

Stanąwszy przed nim ponowiłem pytanie, nie ustępując. Odparł ze zrezygnowaniem:

- Co mnie może obchodzić, co tam kiedyś powiedział niejaki Smiles, choćby to był nawet filozof !

- Otóż powiedział tak : " Książki noszą na sobie cechę nieśmiertelności. Są to najtrwalsze plody ludzkiej pracy. Świątynie wala się w gruzy, obrazy i posagi rozpadają się w pył, a książki żyją wiecznie ".

- Widzę, że jest pan w doskonałym nastroju, a ja już mam dość tego wszystkiego.

- Co się znowu, do diabła, stało ?

- Jak pan wie - ciągnął zatroskany Gimel - miało się odbyć dziś w "Tkalni" zebranie młodzieży w sprawie świetlicy. Czekaliśmy z Makarowskim bite dwie godziny. Pan myśli, że ktoś przyszedł ?

- To źle - zaszepiłem się - to bardzo źle !

- Pan powie panu Skowrońskiemu - ciągnął dalej swoją troskę Gimel - że zostaje tu na jutro, a może nawet jeszcze na pojutrze.

- Powiem.

- A więc jutro rano nie jadę z panem do Mrągowa.

Szliśmy z Gimlem na kolację do pani Gritzan. Kopyta nieba nabita gwiazdami opierała się swą podstawą - po lewej stronie gdzieś hen, aż o klasztor "staroobrzędowców", po prawej o wierzchołek lasów niezgłębionej Puszczy Piskiej. Bielejący śnieżek podprowadzał wzrok aż do jej stóp.

Gimel nie reagował na moje zachwyty nad pięknnością tej nocy mazurskiej więc szliśmy w milczeniu.

- No cóż - myślałem pocichu - czyż dotychczasowy model kulturalny nie staje się już przeżytkiem? Czyż gazetka ścienna i t.zw. "błyskawica", jako symbol tego modelu nie staje się obiektem martwym? nie zwracającym na siebie niczyjej uwagi? To jest już przecież aż nadto widoczne. Profil teatralno - taneczno - chóralny także nie daje wiele korzyści, przeciwnie, staje się kosztowną fasadą nie wzbudzającą u ludzi pragnienia do aktywnego kształcenia w sobie nawyków kulturalnych o bardziej trwałych wartościach... W społeczeństwie natomiast, ot, choćby i tu, w Ukcie zaczyna już kiełkować pragnienie rzeczywistego awansu cywilizacyjnego, związanego z rozwojem przemysłu, ze wzrostem techniki, związanej z pracą i życiem na codzień. Nie jeden Horst zaczyna się już rozglądać za książkami technicznymi, coraz więcej kobiet zaczyna brać do ręki nieliczne jeszcze wydawnictwa z zakresu gospodarstwa domowego. Krawiectwo, kursy gotowania, kursy motorowe, szkoły lub jakieś kursy rolnicze, wszystko to winno się znaleźć w nowym modelu polityki kulturalnej na wsi.

Gdyśmy już wkraczali w progi domostwa poczciwej, starej Griczanki, podparłem Gimla otuchą:

- Nic się nie martw, Gimel. Jutro przyjdą napewno.

11 grudnia 1955

O piątej rano byłem już na przystanku PKS. Termin odjazdu - za pół godziny. Nigdy nie wybierałem się do PKS-u w ostatniej chwili. Co prawda, przeważnie wozy się spóźniały nieraz o godzinę, ale bywały wypadki wcześniejszych, niż to było w rozkładzie jazdy odjazdów.

Ukta była pogrążona w głębokim śnie. Żadne światełko nie ożywiało monotoni nocy. Widać było niewyraźne zarysy domów i ciemne pasmo ulicy wiejskiej ginące z oczu już w niedalekim oddaleniu. Od strony Rucian miał nadlecieć oczekiwany pojazd. Tymczasem zaczęli się zbierać coraz liczniej przyszli pasażerowie. Rozpoznawali się w mrogu, gdyż co i raz było słychać przyciszone, jakby w obawie, by kogoś nie przebudzić: "Gut Morgen".

Niedługo zebrała się dość pokaźna grupa wyczekujących, interesując się, czy aby niebo od strony Rucian nie zabarwiło się na kolor zwiastujący zbliżenie się samochodu.

Mróż zaczynał szczytać za uszy.

Nadszedł punktualnie. Wyleciał z za zakrętu kładąc się światłami na drodze i z sykiem stanął na swoim miejscu. Znalazłem wolne miejsce w tyle wozu. Wyraziłem wobec swej sąsiadki z lewej strony zdziwienie, że aż tyle ludzi jedzie do Mrągowa.

- Chyba na targ? - spytałem.

- Panie, toć to dziś niedziela - roześmiała się współpasażerka.

- Ach, to niedziela...

- Na zebranie jedziemy do "stolicy" - wyjaśnił ktoś znaprzeciwka.

A więc jedziemy. Znowu ten sam szlak drogi, tylko że powrotny. Krutynia, później Zgon, Stary Kiełbąk, Nawiady, Piecki...

Wyjazdy i powroty.

Wnętrze samochodu wypełniło się rozgwarem głosów i dźwiękiem grających szyb.

Na przystanku w Krutyni znaleźliśmy się wnet. I wtedy właśnie spostrzegłem, że jedzie ta sama konduktorka, te chuchro, która tak niezdarnie sprawowała się dwa dni temu w drodze do Ukty. O, teraz to co innego! Krzyknęła energicznie "Krutynka", nacisnęła dzwonek i już trzaskała wieczkiem skrzyneczki z biletami. Nie, to nie ta sama dziewczyna. Miała opanowane ruchy, pewność siebie, śmiałe spojrzenie. W mig zaczęła łatwiać teraz czynności biletowania. Niedługo, a już do naszej grupy zwróciła się z pytaniem: dokąd? Zainkasowała pieniądze i przedziurawiła kilka bibletów do Mragowa.

Z pewną satysfakcją patrzyłem się na jej pracę ciesząc się sam nie wiedząc dlaczego z faktu opanowania przez nią tych umiejętności.

- Dzielna dziewczyna!

* Zgon, Stary Kiełbak, niedługo Nawiady ...

Gdy moja konduktorka zaanonsowała kolejny przystanek, tym razem o nazwie "Piecki", jakby mnie ktoś zanurzył nagle w lodowatej wodzie. Spadła na mnie całym ciężarem sprawa tej biblioteki ... i tej bibliotekarki! Staralem się o tym nie myśleć, w czym walnie mi pomagała obserwacja procesów pracy świeżo upieczonej konduktorki. Aż się narzucała w oczy tak doskonałym opanowaniem techniki swego "zawodu".

- Ostatecznie, to nie biblioteka - próbowałem rozpatrywać zagadnienie właśnie od tej strony. Tu jest tylko pieniądz i bilet, tam całe bogactwo literatury i człowiek. Trzeba nie byle jakich umiejętności, by te dwa elementy ze sobą połączyć.

Ale swoją drogą, gdyśmy stanęli na ostatnim przystanku, pod okapem dworca PKS w Mragowie, w chwili, gdy konduktorka